MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 29. WARSZAWA, 14 LIPCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

O RÓWNOWAGĘ NAD BAŁTYKIEM

NIEZNANE mi są tajniki i tajemnice polskiej dyplomacji, nie wiem przeto jaka myśl przyświecała wizycie statków wojennych polskich w Kilonji. Wizyta ta przypomniała zagadnienie pozycji Polski na Bałtyku.

Zagadnienie to nabiera coraz większej aktualności. Ostatnio zaszły na terenie międzynarodowym wydarzenia, które stawiają je na porządku dziennym. Mamy na myśli układ morski angielsko-niemiecki. Układ ten jest przekreśleniem tych postanowień traktatu wersalskiego, które dotyczyły sił zbrojnych Niemiec na morzu. Układ ten stanie się punktem wyjścia odbudowy floty wojennej niemieckiej. Niemcy zjawią się na morzach, przedewszystkiem zaś na morzu Bałtyckiem. Staną się na tem morzu potęgą.

Nie trzeba zaś być wielkim politykiem, by zrozumieć, że od stosunku sił państw, położonych nad brzegiem Bałtyku, zależy całe zagadnienie Polski—jako państwa morskiego, zależy utrwalenie i rozwinięcie naszego oparcia się o morze. Kto wie, że losy Polski zależą przedewszystkiem od tego, czy będzie ona panowała nad całym biegiem Wisły i czy będzie się opierała o morze, ten wie także, że warunkiem dwu powyżej wymienionych rzeczy jest równowaga sił zbrojnych na Bałtyku, a więc — w rezultacie — posiadanie przez Polskę odpowiedniej dla jej potrzeb floty wojennej.

Nie wiem co myśleli kierownicy polityki niemieckiej, przyjmując statki wojenne polskie w Kilonji, i nie wiem, co myśleli wówczas marynarze niemieccy? To jednak jest dla mnie jasne, że musieli zrozumieć, iż Polska będzie dążyła do posiadania sił zbrojnych na Bałtyku i że dążenie to może być zniweczone li tylko razem z państwem polskiem.

Bałtyk nie jest i nie może się stać niczyjem morzem wewnętrznem. Wrota doń trzymają w swem ręku z jednej strony trzy państwa Skandynawskie z drugiej Niemcy. Posiada flotę wojenną i tradycje wpływów na Bałtyku Rosja. Wreszcie są państwa odbudowane nowe, a więc Polska, Litwa, Łotwa, Estonja i Finlandja...

Dziś żadne z wymienionych powyżej państw nie posiada takich sił morskich, któreby mu dawały przewagę nad wszystkiemi innemi. Wejście Niemiec na drogę, prowadzącą do odbudowy ich floty wojennej, stawia w całej rozciągłości zagadnienie równowagi sił na morzu Bałtyckiem. Zagadnienie to jest wysoce skomplikowane, bo przedewszystkiem polityczne, ze względu na wielość państw rozłożonych nad Bałtykiem. Nie ulega wszakże wątpliwości, że decydującą rolę odegrywać będą te państwa, które muszą mieć aspiracje, aby być wielkiemi mocarstwami, a więc Polska, Rosja i Niemcy. Nie można jednak lekceważyć państw mniejszych, bo od takiego czy innego układu politycznego nad Bałtykiem będą zależały także zagadnienia z dziedziny równowagi sił na morzu.

Sprawami temi wypadnie się zajmować coraz częściej politykom polskim. Na razie chodziło nam o wskazanie na to, że układ angielsko-nie-

miecki stawia wobec Polski wielkie i trudne zagadnienie budowy floty wojennej. Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że na to potrzebne są znaczne pieniądze; zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, z jak wielkiemi trudnościami finansowemi walczy nasze państwo; mimo to musimy stwierdzić, że niema dla Polski żadnego sposobu uniknięcia nowych obciążeń, posiadanie bowiem odpowiednich sił zbrojnych na morzu będzie warunkiem istnienia państwa polskiego. Wysiłek wymagany od nas wtedy tylko będzie możliwy, jeśli opinja polska będzie sobie w pełni zdawała sprawę z tego, że jest on niezbędny i konieczny.

Pierwszem tedy zadaniem jest nietylko uświadomienie dokładne tej opinji, lecz także wytworzenie mocnego dążenia społecznego do realizacji wynikających z położenia celów. Na tem tle musi dopiero być poprowadzona odpowiednia polityka bałtycka, której wyrazem i narzędziem będzie polska flota wojenna.

STANISŁAW KOZICKI

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

POLITYKA MORSKA SOBIESKIEGO

SOBIESKI był nietylko znakomitym wodzem, jednym z największych, jakich widziała Europa XVII stulecia, lecz był też głębokim, przewidującym politykiem, a pozatem patrjotą polskim do szpiku kości. Widział on jasno całą słabość ówczesnego ustroju Rzeczypspolitej, który groził niechybną ruiną w niedalekiej przyszłości. Słabość Polski była oczywiście na rękę jej sąsiadom, przedewszystkiem zwolnionemu od hołdu elektorowi brandenburskiemu, który już podczas krwawego „potopu" jawnie przystąpił do zamierzonego rozbioru Rzeczypospolitej, wysuwając rękę po Prusy Królewskie, oddzielające jego Brandenburgję i uzyskaną po Wojnie Trzydziestoletniej wschodnią część Pomorza nadodrzańskiego od Prus Książęcych. W elektorze brandenburskim widział orli wzrok Jana III najgroźniejszego w przyszłości wroga Rzeczypospolitej, a w osłabieniu berlińskiego Hohenzollerna upatrywał słusznie początek poprawy położenia Polski. Sobieski w swoich rozważnych, a opracowywanych metodycznie projektach politycznych, mających za jedyny cel potęgę Polski, szedł dalej.

Pozbawienie elektora Prus Książęcych podrywało jądro sił brandenburskich, bo właśnie te Prusy Książęce były podstawą potęgi domu brandenburskiego dzięki portom: królewieckiemu i kłajpedzkiemu. Z drugiej strony, osadzenie w tych Prusach jednego z synów Jana III, a mianowicie najstarszego, oczywiście w charakterze księcia-lennika, oddawało, po pierwsze, całe Prusy Książęce pod władzę polską, a, po drugie, dawało stuprocentową pewność, że ów lenny książę Sobieski stanie się jedynym realnym kandydatem do tronu polskiego po śmierci Jana III. Ugruntowanie silnej władzy monarchicznej na wzór francuski uważał Sobieski za sposób wzmocnienia skołatanego ustroju Rzeczypospolitej, zaś podstawowym czynnikiem tej władzy musiało być utworzenie swojskiej, a popularnej dynastji. Przyłączenie Prus Książęcych łamało potęgę elektorską i umożliwiało założenie dynastji Sobieskich na polskim tronie.

Myśli te, przypominające częściowo zamiary Zygmunta III przed drugą wojną polsko-szwedzką, można było urzeczywistnić, idąc przeciwko nietylko elektorowi, lecz, co najważniejsze, przeciwko tradycyjnemu protektorowi Berlina, jakim bywał zawsze cesarz niemiecki. Należało zatem sprząc się z walczącą stale z Habsburgami Francją. Jan III był gorącym rzecznikiem polityki prowersalskiej jeszcze za czasów „potopu" i nie przestał nim być po wstąpieniu na tron. Zmiana frontu prohabsburskiego na proburboński musiała się zacząć przedewszystkiem od zlikwidowania zatargu polsko-tureckiego, w który tak umiejętnie wtrąciło Rzeczpospolitą cesarstwo za czasów Zygmunta III. Lecz zatarg ten doprowadził po „potopie" do hańby traktatu buczackiego (1672 r.) z płaceniem daniny i oddaniem Podola, a na taki traktat nie mógł się zgodzić żaden Polak. Jan III zdecydował się zatem naprzód załatwić honorowo spór polsko-turecki, a potem przystąpić do realizacji swych bałtyckich zamiarów, wyzyskując w całej pełni pomoc francuską. Francji znów bardzo zależało, aby mieć na północy potężnego sprzymierzeńca, zwróconego stale przeciwko cesarstwu niemieckiemu, zagrażającemu ustawicznie i Polsce i Francji.

Owe zamiary króla Jana III nie mogły się, rzecz prosta, ukryć, ani przed zagrożonym bezpośrednio elektorembr andenburskim, ani przed narażonym na ich skutek pośredni cesarzem niemieckim. Obydwaj monarchowie niemieccy przyłożyli wszelkich starań, aby do zrealizowania tych zamiarów nie dopuścić, a w tem znaleźli znaczny sukurs w przeważającej części możnowładztwa, patrzącego z nietajoną niechęcią i lekceważeniem na Sobieskiego, jako na *homo novus* i szczęśliwego współzawodnika.

Pierwszą próbę realizacji polityki bałtyckiej przedsięwziął Jan III zaraz po wstąpieniu na tron. Po porozumieniu się z Francją ruszył on w 1774 r. na wyprawę przeciwko Turkom, chcąc odnieść nad nimi walne, a rozstrzygające zwycięstwo i zawrzeć potem, za pośrednictwem ambasadora francuskiego w Konstantynopolu, honorowy pokój. Cesarz niemiecki Leopold I użył wszystkich środków, aby kampanję przedłużyć i do pokoju nie dopuścić. W pierwszym roku kampanji odmówił niespodziewanie dalszego udziału w wojnie hetman Michał Pac, cofając się z całym komputem litewskim na leże zimowe na północ. W drugim roku kampanji nie przyszły ani razu na czas sprzymierzone z Rzecząpospolitą wojska moskiewskie, lecz swoją drogą Jan III zdążył podpisać przymierze zaczepno-odporne między Polską a Francją w Jaworowie (8 czerwca 1675 r.), wymierzone przeciwko cesarstwu i elektorowi.

W trzecim roku kampanji, po szeregu krwawych bitew, nastąpił honorowy dla Rzeczypospolitej układ Żórawiński i pokój od strony tureckiej. Sobieski pojechał do Gdańska i tam zawarł tajne przymierze polsko-szwedzkie (21 sierpnia 1677 r.), gwarantowane przez Francję. Stosownie do warunków tego przymierza, wojska szwedzkie, składające się w 40% z korpusu polskiego, wkraczały z Inflant szwedzkich przez Żmudź do Prus Książęcych i pomagały do zrzucenia przez ludność tamtejszą Hohenzollernów. Trzeba podkreślić, że osoba elektora Fryderyka Wilhelma, wskutek niemiłosiernego ucisku fiskalnego i ciągłego łamania zaprzysiężonych praw i przywilejów szlacheckich, duchownych i miejskich, była najbardziej znienawidzoną postacią w całych Prusach Książęcych i ferment wzmagał się tam coraz większy. Garnizony elektorskie też były tam słabe, a korpus oficerski, złożony przeważnie ze szlachty pruskiej, niechętnej Hohenzollernom, niepewny. Szwedzi zaś walczyli już z cesarzem i elektorem, jako sprzymierzeńcy francuscy w drugiej wojnie Dewolucyjnej i byli poważnie zaangażowani na Pomorzu nadodrzańskiem, więc musieli traktować marsz do Prus Książęcych jako wypełnienie wskazówek Ludwika XIV i o zagarnięciu przez nich ziemi pruskiej na stałe nie było mowy. Sobieski z drugiej strony nie chciał jawnie wypowiadać wojny elektorowi, jakkolwiek niecierpianemu przez cały ogół polski za zdrady podczas „potopu” a potem zagarnięcie Drahimia i porwanie emigranta Kalksteina, gdyż był z nim związany *de jure* przymierzem bydgosko-welawskiem. Oprócz tego, braterstwo broni ze Szwedami nie było zbyt popularne w szerokiem społeczeństwie po ranach, jakie zadał „potop”.

Następował więc moment decydujący i wówczas dwór wiedeński zastosował środki stanowcze w postaci spisku detronizacyjnego, ułożonego przez przeważną część możnowładców z księciem Dymitrem Wiśniowieckim i Pacami na czele. Jednocześnie na stronę cesarza i elektora przechyliła się Danja, zamykając cieśniny Sundzkie przed flotą francuską, zaś armja szwedzka pod Szczecinem musiała kapitulować. Jan III poczuł w 1678 r. dotkliwe uderzenie i ledwie zdołał sparaliżować wysiłki spiskowców na sejmie grodzieńskim, który, nastraszony pogłoskami o usiłowaniach wprowadzenia „*absolutum dominium*”, odrzucił przymierza francuskie i szwedzkie.

W Polsce zaczęła się polityka prohabsburska, która doprowadziła do nowej wojny z Turcją, ukoronowanej zwycięstwem pod Wiedniem (1683 r.).

Atoli w parę lat po wiedeńskiej wiktorji, z której wyciągali korzyści wszyscy, oprócz Polski, sprawa bałtycka znów wypłynęła na porządek dzienny. Było to w 1688 roku. Król Jan III, nie ustając w swoich zabiegach dynastycznych, związanych ze wzmocnieniem władzy monarchicznej w Polsce, zabiegał o rękę najbogatszej dziedziczw Europie, wdowy po margrabi brandenburskim Ludwiku, Karoliny z Radziwiłłów, córki osławionego zdrajcy z czasów „potopu”, księcia Bogusława Radziwiłła, dla swego najstarszego syna, królewicza Jakóba. Odbyły się już zaręczyny, kiedy, pod wpływem intryg elektora Fryderyka Wilhelma, margrabina Karolina zerwała i oddała rękę, popieranemu przez cesarza niemieckiego, księciu Karolowi Neuburskiemu.

Sobieski odczuł głęboko ten afront, a z nim cały ogół społeczeństwa polskiego. Spowodowało to szybką zmianę kierunku prohabsburskiego na proburboński. W związku z tem odżyły wspomnienia przymierza francusko-polskiego z 1675 r. i zagadnień bałtyckich. Sprawa wcielenia Prus Książęcych do Rzeczypospolitej znów stanęła na porządku dziennym. Szło, jak wówczas, o definitywny pokój z Turcją, w czem miała pośredniczyć Francja, a potem o wkroczenie wojsk polskich do Prus, gdzie wrzało przeciwko elektorowi po staremu. Rozpoczynała się właśnie w Europie wojna Orleańska, w której przeciwko Francji występował cesarz w asyście wszystkich główniejszych książąt niemieckich z elektorem brandenburskim.

Uderzenie zatem polskie na Prusy było bardzo na rękę Ludwikowi XIV, który nawet był gotów wysłać swoją flotę na Bałtyk i za pośrednictwem ambasadora margrabiego de Béthune’a interesował się bardzo stanem Pucka, jedynej ówczesnej warowni morskiej Sobieskiego. Atoli zawistne fatum wystąpiło przeciwko Janowi III po raz drugi. Turcja, widząc zaangażowanie się cesarza Leopolda I przeciwko Francji, nie chciała słyszeć o pokoju z Polską, a przeciwnie pragnęła uregulować z nią rachunki za klęskę wiedeńską. Szwecja znowu zmieniła front, przerzucając się na stronę cesarską i zagroziła wkroczeniem na Litwę w razie okupacji Prus Książęcych przez wojska polskie. Wreszcie Danja przechyliła się również na stronę koalicji i zamknęła cieśninę Sundzką. Nakoniec cesarz, nie chcąc mieć Soobieskiego w rzędzie swych zdeklarowanych wrogów, zaproponował królewiczowi Jakóbowi rękę siostry cesarzowej. Niemożność prowadzenia wojny, wobec gróźb szwedzkich i zamknięcia Bałtyku przez Duńczyków, sparaliżowała zamiary Sobieskiego i wielki wódz na tronie wyrzekł się z bólem serca swych zamiarów bałtyckich na zawsze.

Mimo to ciągnęło Jana III wciąż do Bałtyku i, nie mogąc powiększyć już swego stanu posiadania na wybrzeżach morskich, pragnął on choćby ożywić polski handel zagraniczny, usuwając monopol Gdańska. Leżało mu bardzo na sercu ciążenie zaplecza litewskiego ku portom pruskim w Królewcu i Kłajpedzie, więc chciał stworzyć nowy port polski na żmudzkiem wybrzeżu, u ujścia rzeki Świętej. Istniejące tam miasteczko nadmorskie Święte (niem. Heiligenaa) otrzymało w 1685 r. przywileje portowe i został w niem założony kantor angielskiego towarzystwa żeglugowego z dyrektorem Horst’em na czele. Port ten miał zastąpić utraconą Rygę i odciągnąć transporty od Królewca i Kłajpedy. Sprawa ta jednak potrzebowała znacznych nakładów, na które nie mógł sobie pozwolić ani Jan III, ani Rzeczpospolita, ani też kompanja angielska.

Sobieskiemu nie było sądzone dokonać wcielenia Prus Książęcych i nie mógł on w pogrążającym się coraz bardziej ogóle polskim rozpalić pochodni, wskazującej drogę na zachód. Wiek XVII, zaczynający się górnym porywem unji polsko-szwedzkiej i mocnem postanowieniem eksploatacji Bałtyku, zakończył się zwężeniem polskiej linji brzegowej do odcinka między jeziorem Żarnowieckiem a Oksywiem i oddaniem całego obrotu zamorskiego Gdańskowi. Polska cofała się od morza.

WITOLD HUBERT

NA SZCZYTACH POLSKIEJ LIRYKI RELIGIJNEJ

I

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

. . . .

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i wgórę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi
I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

A promień Wiary, którą Niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadło oświeca:
Ach! ty bez Wiary byłbyś niewidomy.

W CAŁEJ literaturze staropolskiej, pomimo że się ona szczyci tak pięknemi utworarami liryki religijnej, jak w wiekach średnich „Żale Matki Boskiej pod Krzyżem", w wieku XVI — „Hymn o dobrodziejstwach bożych" i dwa „Treny" (siedemnasty i osiemnasty) Kochanowskiego, oraz sonety i pieśni Szarzyńskiego, w wieku XVII — „Psalmodja" Kochowskiego, w XVIII — pierwsza strofa pieśni Karpińskiego „Bóg się rodzi", — w całej naszej literaturze religijnej dawnych wieków daremnieby szukać tak mocnego i wspaniałego wyrazu własnego przeświadczenia głęboko wierzącego człowieka, że wiara religijna i jej błogosławieństwa są owocem nie rozumu, tylko darem Nieba, który Bóg dał nie głowie, ale sercu człowieka, i że, co za tem idzie, dopiero serce uszczęśliwia tym darem rozum — pod warunkiem, że się on, w poczuciu swojej bezsilności, upokorzy przed sercem. To przeświadczenie (albo, jakby powiedział kardynał Newman, to przyświadczenie wiary) jest dopiero w liryce tego poety, o którym słusznie powiedziano, że „miał on duszę tak głęboko, tak rdzennie religijną", jak żaden inny z poetów XIX wieku, „z nią przyszedł na świat i z nią też przeszedł przez życie"[1]). Poetą tym był Mickiewicz. On dopiero polską lirykę religijną wprowadził na szczyty, do jakich się nietylko przed nim, ale i po nim — pomimo Kasprowicza — nie wzniosła nigdy.

Lecz co należy rozumieć przez s z c z y t y liryki religijnej? Odpowiedź prosta. W pojęciu „liryka religijna" są dwa pojęcia: „liryka" i „religja". Liryka jest poezją, a poezja jest sztuką, czyli jedną z postaci piękna — więc utworu, mającego w sobie choćby nawet głębię przeżyć religijnych, nie zaliczymy do wielkiej poezji, jeżeli ta głębia nie ma pięknego wyrazu: ileż to jest w naszej poezji religijnej wieków średnich, a cóż dopiero XVII stulecia, utworów, którym nie można odmówić głębokich wzruszeń religijnych, ale których forma jest tak nieudolna, że budzą w duszy nie podniosłe uczucia, tylko pobłażliwy uśmiech, czasem nawet śmiech, albo i coś w rodzaju odrazy. Lecz z drugiej strony są i takie utwory, które, dzięki pięknej formie, wywołują w duszy wrażenia wysoce estetyczne, nie wyłączając nawet zachwytu, które jednak nie budzą w niej głębszych uczuć religijnych, albowiem piękność ich wyrazu jakby przytłacza ich treść — dlatego oczywiście, że w duszy poety, kiedy tworzył, wzruszenia estetyczne nietylko nie były w harmonji z religijnemi, ale miały większą od nich siłę. Czy do takich utworów nie należy czasem „Hymn" Kochanowskiego, a nawet ten cud poezji Słowackiego, który zaczyna się od słów: „Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy błękitnych polach"?

Więc odpowiedź na pytanie, co należy rozumieć przez arcydzieła liryki religijnej, będzie taka, że są niemi t y l k o takie utwory, w których jest j e d n o c z e ś n i e wielkie piękno wyrazu poetycznego i wielka siła wzruszeń i wogóle przeżyć religijnych, czyli, mówiąc ściślej, które budzą w duszy czytelnika czy słuchacza j e d n o c z e ś n i e uczucia estetyczne i religijne.

Że zaś odczucie siły, a czasem i rodzaju tych uczuć — zarówno estetycznych, jak religijnych — jest bardzo indywidualne, że niejeden np. woli „Hymn" Kochanowskiego od sonetów Szarzyńskiego, albo lirykę religijną Słowackiego od liryki religijnej Mickiewicza, — na to już rady niema. O swoich własnych upodobaniach estetycznych, a cóż dopiero o przeżyciach religijnych, wolno i można innym m ó w i ć, ale n a r z u c a ć ich innym — może wolno, ale nie można. Jeśli tedy mówić wolno, to powiedzmy raz jeszcze, że w całej polskiej liryce religijnej niema drugiej takiej, coby się mogła mierzyć z temi pięcioma utworami Mickiewicza, któremi są: wiersz „Do Marceliny Łempickiej w dzień przyjęcia Komunji świętej", „Rozmowa wieczorna", „Rozum i wiara", „Arcymistrz" i „Mędrcy". Pospolicie nazywa się te utwory „rzymską liryką" Mickiewicza; lecz jest to nazwa niezbyt fortunna, bo niezupełnie ścisła.

Prawda, że pierwszy z wymienionych utworów, mający w autografie tytuł „Sen po spowiedzi", powstał w roku 1830 — w Rzymie, jak o tem świadczy własnoręczny dopisek Mickiewicza. Prawda i to, że pod pierwodrukiem „Arcymistrza", w wydaniu paryskiem poezyj z r. 1836, „przejrzanem i poprawionem przez autora", figuruje data 1830. Tak, ale w autografie „Mędrców" czytamy taki własnoręczny dopisek poety: „Myślano we Francji, pisano w Dreźnie". Możliwą tedy jest rzeczą, że także dwa pozostałe utwory, t. j. „Rozmowa wieczorna" i „Rozum i wiara" były myślane we Francji, a pisane w Dreźnie, a więc nie w roku 1830, jak wiersz „Do Marceliny Łempickiej" i „Arcymistrz", tylko dopiero w roku 1832 — w tym krótkim, bo niespełna czteromiesięcznym, ale dla poezji polskiej i dla narodu polskiego po wszystkie przyszłe wieki jego istnienia błogosławionym okresie twórczości Mickiewicza, na którego progu, kiedy się raz, w Dreźnie, modlił w ko-

[1]) Marjan Zdziechowski: *„Ad Altaria Tua"* („Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych. Książka zbiorowa, poświęcona pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin". Warszawa, 1899).

ściele, bania z poezją, jak podobno sam opowiadał Odyńcowi, rozbiła się nad jego głową[2]), czyli, mówiąc językiem zwykłym, kiedy spłynęło nań natchnienie.

Zważmy przecie, że niektóre myśli i uczucia tych naprawdę natchnionych poezyj religijnych są bardzo blisko pokrewne myślom i uczuciom utworu, o którym wiemy napewno, że jest owocem tego właśnie natchnienia, jakie spłynęło na Mickiewicza w Dreźnie, to znaczy trzeciej części „Dziadów".

W „Rozmowie wieczornej" jest pokora księdza Piotra; a w wierszu „Rozum i wiara" jest wprawdzie „pycha", lecz pycha, wzniecona przez „ducha pokory" księdza Piotra, oraz wiara w posłannictwo narodowe poety, ale nie tego, który, oszalały miłością patrjotyczną i pychą prometejską, bluźnił Bogu, krzycząc:

„Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził," —

ale już tego pokutnika, któremu Bóg, kładąc na jednej szali swej sprawiedliwości jego pychę i bluźnierstwo, a na drugiej jego miłość Ojczyzny, nietylko w swem nieograniczonem miłosierdziu przebaczył, ale nadto pozwolił Chórowi Archaniołów modlić się o udzielenie mu wielkiego posłannictwa wobec całego świata:

„Podnieś tę głowę, a wstanie z prochu, niebios dosięże
I dobrowolnie padnie, i uczci Krzyża podnóże,
Wedle niej cały świat u stóp Krzyża niechaj polęże
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy Pan
[nasz, o Boże!"

Prawda, że to odrodzenie religijne, którego pierwsze iskry — po dłuższym okresie zobojętnienia religijnego — wzniecił w duszy Mickiewicza Oleszkiewicz, jeszcze w Petersburgu, pogłębiło się już w Rzymie, a to pod wpływem Lamennais'go i Tomasza à Kempis, nauk księdza Chołoniewskiego, przykładu Marceliny Łempickiej, kopuły świętego Piotra, ale nadewszystko pod wpływem własnych rozmyślań, własnych uczuć, własnych wyrzutów sumienia i własnych doznań mistycznych. A i to prawda, że już w Rzymie upokorzył się Mickiewicz przed Bogiem, przystępując 8 grudnia r. 1830 do spowiedzi, co mu jednak, jak wolno mniemać, nie przeszkadzało żywić w sercu dumnej wiary romantycznej, której iskry zaczęły się żarzyć już w Rosji, także pod wpływem Oleszkiewicza, że sam Bóg dał mu, jako wielkiemu poecie, jako „bożemu synowi", posłannictwo wobec własnego narodu.

I ta właśnie wiara była główną przyczyną, dla której Mickiewicz nie wziął udziału w powstaniu listopadowem: poczytując się za poetę, powołanego do odrodzenia narodu, odmawiał sobie prawa do śmierci na polu bitwy. „Bóg mi nie pozwolił być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkiem i płodnem na przyszłość dziele", pisał Mickiewicz do Lelewela.

Ma zupełną słuszność Tretiak, — „to nie był frazes, ...Bóg mu nie pozwolił, bo dał mu pełną świadomość jego powołania i jego archanielskiej broni, dla której placem boju powietrzne sfery poezji"[3]). Pamiętać trzeba, jak ogromną rolę w przeżyciach religijnych, mianowicie w ich stadjach mistycznych, których pasmo zaczęło się w życiu Mickiewicza już w Rosji, odgrywa wiara w przeznaczenie. Przeznaczenie — mówi Jan Władysław Dawid, który, obok Edwarda Abramowskiego, należy do tych bardzo niewielu wybitnych myślicieli polskich, którzy się zagłębiali w psychologję religji — przeznaczenie jest dla mistyka „Opatrznością — siłą rozumną i dobrą, której trzeba zawierzyć, cokolwiekby jeszcze się zdarzyło i wbrew wszelkim przeciwnym pozorom"[4]). Prawda, że przytoczone słowa Mickiewicza z listu do Lelewela pochodzą dopiero z d. 23 marca r. 1832; nic jednak nie przeszkadza do mniemania, że głos tej wiary w swoje boskie posłanictwo, z którą Mickiewicz wyjechał z Rosji zagranicę, ze szczególną siłą zabrzmiał w jego sercu, kiedy się dowiedział o wybuchu powstania.

Trwałym jednak ten głos nie był[5]). Zważmy przecie, że wkrótce po wyjeździe z Rzymu odrodzenie religijne Mickiewicza załamało się — może nie w Paryżu, gdzie francuski egoizm polityczny wobec walczącej za wolność Polski, napawając jego serce goryczą i nienawiścią ku Francji, mógł raczej, siłą kontrastu, jeszcze pomnożyć zebrany w Rzymie plon idealizmu religijnego, — ale dopiero w Wielkopolsce, gdzie, wiemy wszyscy, jakie prowadził życie. On sam przecie wyznaje, że było to życie „zwierzęce albo raczej roślinne": „Cały rok od wyjazdu z Włoch był tak okropny, że boję się myśleć o nim, jak o chorobie albo o złym uczynku". A prócz własnego upadku moralnego, przyczynił się do zburzenia osiągniętej w Rzymie równowagi moralnej, co więcej, do zachwiania samych podstaw odrodzenia religijnego, upadek powstania.

Kiedy na własne oczy widział przeciągających przez Wielkopolskę emigrantów, wówczas, pomimo że dawniej odmawiał sobie prawa do uczestniczenia w walce, sumienie zaczęło go teraz dręczyć i pytać: czemu ciebie tam nie było? coś ty wart z całą swoją poezją słowa wobec tych wielkich poetów czynu, którzy dali Ojczyźnie swą krew? Cierpiał tak mocno, że chwilami opadały go pokusy samobójcze.

Nie dosyć na tem. Ogrom klęski narodowej zburzył w jego sercu wiarę w miłosierdzie boże: „Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością, Ty jesteś tylko mądrością". I oto, zdawałoby się, kopuła świętego Piotra runęła w sercu Mickiewicza. Runęła i wiara w przyszłość Polski.

Niebawem jednak, jak zawsze w życiu ludzi głęboko religijnych, po upadku i zwątpieniu nastąpiło odrodzenie moralne i powrót wiary, i to już w Wielkopolsce, wiary w Boga jako miłość i wiary w przyszłość narodu! „Pobyt w Wielkopolsce" — pisał do Lelewela — „i to, com słyszał o Śląsku, utwierdziło moje zasady. Może nasz naród jest powołany opowiadać ludom Ewangelję narodowości, moralności i religji".

Otóż w Dreźnie ta wiara pogłębiła się jeszcze, co więcej, wszystkie wogóle nasiona odrodze-

[2]) Czy się istotnie tak wyraził Mickiewicz w rozmowie z Odyńcem, niema pewności wobec wykazanej i uzasadnionej szczegółowo przez Życzyńskiego blagi autora „Listów z podróży" („Mickiewicz w oświetleniu Odyńca". Lublin, 1934). O tem jednak, że w Dreźnie spłynęło na Mickiewicza natchnienie, wątpić nie pozwala jego twórczość drezdeńska.

[3]) „Kto jest Mickiewicz?" Kraków, 1921, s. 155.

[4]) „Psychologja religji". Warszawa, 1933, s. 53.

[5]) O zmienności stanów mistycznych ob. tamże, s. 60

nia religijnego, jakie padły na duszę Mickiewicza w Petersburgu i w Rzymie, nietylko odżyły, ale teraz dopiero rozkwitły, do czego przyczynić się mogła znajomość z myślicielem niemieckim Heinrothem, zawarta w Dreźnie[6]). I w Dreźnie dopiero ponownie, ale daleko potężniej, zabrzmiał w duszy Mickiewicza głos Oleszkiewicza: „Ty jesteś dzisiaj wysłańcem Bożym, więc powinieneś żyć nie tak, jak ci każą twoje zmysły, ale tak, jak ci każe Chrystus, i objawić narodowi polskiemu ewangelję narodową".

I stało się. Objawił Mickiewicz narodowi polskiemu ewangelję narodową nietylko bezpośrednio — w „Księgach Narodu" i „Księgach Pielgrzymstwa", ale i pośrednio — w poezji, będącej historją jego najgłębszych przeżyć duchowych, zarówno upadków, jak wzlotów. Do tej zaś poezji wolno zaliczyć nietylko trzecią część „Dziadów", ale i owe utwory liryki religijnej. Są zaś one pod względem estetycznym w bliskiem pokrewieństwie, a pod względem psychologicznym stanowią jedną całość.

II

Ich pokrewieństwo estetyczne polega przedewszystkiem na tem, że we wszystkich zajaśniał w całej pełni genjalny talent do nadawania uczuciom i myślom konkretnego, zmysłowego, plastycznego wyrazu. „Oda do młodości" blednieje przy tych utworach. „Sonety krymskie" i „Farys", zapewne, przewyższają je obrazowością: ale pamiętajmy o tem, że w „Sonetach krymskich" pierwiastek opisowy, chociaż idzie w służbę myśli i uczucia, formalnie przemaga jednak nad pierwiastkiem lirycznym; cóż dopiero powiedzieć o „Farysie": tutaj Mickiewicz nie wypowiada swoich uczuć bezpośrednio, jak w niektórych „Sonetach krymskich", tylko symbolicznie; przecie „Farys" jest, formalnie biorąc, utworem epickim, w którym akcja odbywa się nietylko w duszy pędzącego jeźdźca, ale także, i to nadewszystko, w przestrzeni — na pustyni. Więc tutaj plastykę i obrazowość, przy talencie Mickiewicza, osiągnąć było łatwiej. Tymczasem z pośród pięciu omawianych utworów liryki religijnej tylko „Mędrcy" są (z wyjątkiem ostatniej strofy) takim jak „Farys" poematem, to jest poematem symbolicznym, posiadającym akcję w przestrzeni. Chociaż, wolno także mówić o akcji w wierszu „Do Marceliny Łempickiej", a to dzięki Aniołowi, który nad ranem zlatuje z nieba i z takiem nad nią „schyla się objęciem, jak matka nad swem sennem niemowlęciem". Trzy zaś pozostałe utwory są poezją nietylko rzeczową, ale i formalnie liryczną, są bezpośrednim wyrazem przeżyć duchowych Mickiewicza, a jakże plastyczny jest ten wyraz!

Oto w „Rozmowie wieczornej" Bóg jest jednocześnie panem na niebie i sługą człowieka — na krzyżu; dobra myśl człowieka jest promieniem, który wraca do Boga, „do źródła, do słońca", i, „nazad płynąc, znowu" człowieka „ozłaca". A w „Arcymistrzu" — któregoby Mickiewiczowi mógł pozazdrościć sam Platon, ten największy poeta ze wszystkich filozofów na bożym świecie — jak wspaniale zobrazował Mickiewicz wielkość Boga-stworzyciela!

„Jest mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku.
. . . .
Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali..."

A cóż dopiero powiedzieć o wręcz nieprawdopodobnej obrazowości wiersza „Rozum i wiara"! Rozum ludzki to ocean ze swojemi wiecznie ruchomemi falami, które jednak nigdy, bijąc o brzegi nie przekraczają zakreślonych granic, a wiara to promień słoneczny, który, igrając na szumnej topieli morza, płonie jako tęcza i znowu powraca do nieba.

Szczytem jednak plastyki w liryce religijnej Mickiewicza są „Mędrcy". W całej nietylko liryce, ale wogóle w całej jego poezji daremnie szukać takiego drugiego utworu, któryby w tak krótkich słowach zawarł tyle treści, i to treści ujętej dramatycznie, a skupiającej w sobie całe wielkie misterjum chrześcijańskie albo raczej jego punkt kulminacyjny — mękę Boga-człowieka. Co za wspaniały i, pomimo swojej krótkości, wyrazisty kontrast między pychą nikczemnych mędrców, którzy się zrazu przelękli, ale potem nabrali odwagi na widok, że „Bóg straszy a nie karze",—a majestatycznym spokojem i miłością Chrystusa, modlącego się za swoich katów[7]).

W wierszu „Do Marceliny Łempickiej" niema żadnego kontrastu, ani żadnej grozy dramatycznej, która w „Mędrcach" stanowi główny pierwiastek potęgi estetycznego wrażenia: przeciwnie, jest cichy, błogosławiony spokój, a głównym pierwiastkiem estetycznego wrażenia jest eteryczny, nieziemski wdzięk, o miedzę tylko graniczący z majestatyczną wzniosłością, Zródłem zaś tych wrażeń jest widok spokojnego snu istoty ludzkiej, oczyszczonej z grzechów spowiedzią i Komunją, a nadewszystko widok Anioła, który zleciawszy z nieba, staje przy swojej „piastunce", „łagodnie przygłusza swe blaski", aby jej nie zbudzić, „a nim odleci, kładzie wdzięki nowe, jak nowe suknie dziecięciu pod głowę".

Ten zaś anioł był w wizji artystycznej Mickiewicza, pamiętajmy o tem, nie symbolem, nie przenośnią, tylko konkretną rzeczywistością, rzeczywistym Aniołem-Stróżem, w którego istnienie mocno wierzył, jak i w to wierzył, że zarówno aniołowie, jak złe duchy szczególną siłę wywierają nad człowiekiem podczas jego snu[8]).

[6]) Ob. Stanisław Łempicki, „Tak zwany „Heinrech" w bruljonie Mickiewiczowskich „Ksiąg pielgrzymstwa" („Sprawozdania z czynności i posiedzeń Pol. Akad. Umiej." Marzec, 1929, tom XXXIV, nr. 3).

[7]) Na dramatyczność „Mędrców" zwrócił już uwagę Walery Gostomski, który, mówiąc nawiasem, pierwszy poznał się na wielkości liryki religijnej Mickiewicza. Ob. zbiór „studjów i szkiców krytyczno-literackich" p. t. „Z przeszłości i teraźniejszości". Warszawa, 1904.

[8]) Z tej to wiary urodził się prolog w trzeciej części „Dziadów". Tu mimowoli przypomina się romantyk francuski Charles Nodier, o którym Mickiewicz słyszał zapewne już za pierwszej bytności w Paryżu, a którego później prawdopodobnie czytał. Warto przytoczyć te jego słowa z dzieła *„Rêveries littéraires, morales et fantastiques"*: „Le sommeil est non seulement l'état le plus puissant, mais encore le plus lucide de la pensée... Il semble que l'esprit, offusqué des ténèbres de la vie extérieure, ne s'en affranchit jamais avec

Dodać jeszcze trzeba, że konkretne obrazy w liryce religijnej Mickiewicza nigdy nie roszczą sobie prawa do samodzielności: są nie celem, tylko środkiem do uplastycznienia myśli i uczuć, nie przerastają ich, jak to nieraz bywa w liryce Słowackiego, a nadewszystko — w liryce Wiktora Hugo. W liryce religijnej Mickiewicza, w epoce jego odrodzenia religijnego, jest doskonała, klasyczna równowaga pomiędzy pierwiastkiem epickim a lirycznym, czyli, inaczej, pomiędzy wyobraźnią a myślą i uczuciem. Tej równowagi niema jeszcze w młodzieńczym „Hymnie do Najświętszej Panny Marji": dogmat chrześcijański o poczęciu Matki Boskiej z Ducha Świętego przemówił nadewszystko do wyobraźni Mickiewicza, która też wytworzyła niezmiernie malowniczy obraz. Ale, jak to słusznie powiedział Gostomski, „obraz ten świeci, lecz nie grzeje; słowa hymnu budzą w duszy nastrój podniosły, lecz... nie wnikają do serca". Inaczej w utworach, o których mówimy. Tutaj obrazy nietylko świecą, ale i grzeją. Ten nawet, kto nie ma żywej wiary Mickiewicza w dogmaty chrześcijańskie, bez którejby tej liryki nie było, o ile się tylko w nią wczyta i o ile w jego sercu dźwięczą struny religijności, będzie do głębi wzruszony przepastną głębokością wiary i wogóle uczuć Mickiewicza.

I ta głębia uczucia to drugi węzeł pokrewieństwa estetycznego tych pięciu utworów. Zarówno ich konkretne obrazy, jak ich myśli drgają wzruszeniem, które przy końcu „Modlitwy wieczornej" dochodzi do wylewania cichych łez na łono Boga jest to ów „dar łez", tak bardzo znamienny dla mistyków typu uczuciowego[9]). Porównajmy lirykę religijną Mickiewicza z sonetami Asnyka „Nad głębiami" (które wolno, albo raczej stanowczo i bezwarunkowo trzeba zaliczyć do liryki religijnej, albowiem poeta szuka w nich i znajduje trwałe wartości duchowe i sens życia ludzkiego), a wówczas tem mocniej wyczujemy przepastną głębię serca Mickiewicza. W sonetach Asnyka tętni nietyle uczucie, ile nastrój tęskny, melancholijny, połączony ze smutną rezygnacją,—wzruszenia niema, bicia serca nie słychać. A tłumaczy się to nietylko odmiennością dwóch psychik, nietylko nieskończenie większą siłą uczuciowości Mickiewicza, ale i tem jeszcze, że punktem wyjścia liryki religijnej Asnyka jest jego intelekt, jego filozoficzna medytacja nad głębiami tajemniczemi świata, kiedy tymczasem źródłem liryki Mickiewicza jest nie filozofja, tylko jego serce — jego własne przeżycie religijne, wchodzące w obręb doznań mistycznych. Ma słuszność J. W. Dawid, że „wprawdzie Słowacki i Krasiński więcej o rzeczach mistycznych mówią, ale jest to mistycyzm bardziej literacki, teoretyczny i gnostyczny, będący poetyckiem odtworzeniem tradycyjnych pojęć metempsychozy, neoplatonizmu, chrześciajańskiej teologji, Swedenborga, a także współczesnych poglądów witalizmu i zwierzęcego magnetyzmu. Jakkolwiek i u Mickiewicza pierwiastków tych doszukać się można (jak w całej poezji romantycznej), to przecież na pierwszy plan występują u niego objawy, mające nieomylne cechy autentycznych przeżyć, rzeczywistego doświadczenia mistycznego, wiedzy z pierwszego źródła" [10]).

(Dok. nast.) IGNACY CHRZANOWSKI

plus de facilité que sous le doux empire de cette mort intermittente, où il lui est permis de reposer dans sa propre essence... La Bible qui est le seul livre qu'on soit tenu de croire vrai, n'appuie ses plus précieuses traditions que sur les révélations du sommeil... Numa, Socrate et Brutus... ont rapporté toute leur sagesse instinctive aux inspirations du sommeil... Toutes les religions, à l'exception de celles dont la vérité ne peut pas être mise en doute, nous ont été enseignées par sommeil". („*Oeuvres*", V. Bruxelles, 1832, s. 140).

[9]) Dawid, j. w., s. 67.

[10]) „O intuicji w mistyce, filozofji i sztuce". Kraków, 1913, s. 45 (odbitka z „Krytyki").

NORWIDJANA II

ROZPRAWA O HISTORJOZOFJI SŁOWA

podał STANISŁAW PIGOŃ

(Ciąg dalszy)

WŁADZA UKAZU (KAŻĄCA) A WŁADZA SZTUKI. Wiadomo, — albo raczej należałoby już te elementarne mieć pojęcia, że Indjanie od rzeźby (t. j. w skałach dłótując) budownictwo swoje rozpoczęli, i że się to społeczeństwo zawichrzyło, nim pojęcie konstrukcji w mechanikę mogło się rozwinąć. Że dłótując w skałach, byli co do konstrukcji *a priori*.

Że Babilończykowie przeciw prawom konstrukcji też zgrzeszyli, z cegieł swoich budując; to z powieści przemądrej o wieży Babel wiemy również.

Że w Egipcie punktem wyjścia sztuki była właściwie inżynierja, że ludy te sztukę od religji, dla niezupełnego konstrukcji pojęcia właściwie wyróżnić nie umiały, i że ono wiary uczestnictwo dało tak kolosalne monumenta.

Był lud zatem cieśla, który przeto sztukę głównie pojmował jak konstrukcję, który też ojczyzny jakby nie miał, na wybrzeżu morza zaczepiony, gdzie po pochyłościach gór wycięte cedry i libańskie jodły się staczały. Ten z architektury symbolicznej wyróżnił alfabet i konstrukcję, świat opłynął, objawił pierwsze wiedzy promienie, a któż wie, czy i to nawet w związku nie jest, że on właśnie lud-cieśla, któremu najgłówniej się należy powieść o feniksie zmartwychwstałym, który przez alfabet i żeglugę, a z żeglugą pojęcia astronomji, i to wszystko w praktykę rozpowszechnienia wprowadzone, stał się jakby inicjum cywilizacji nowej, że on mówię fenicki lud był właśnie w następstwie czasów powołanym do stawienia świątyni Salomona!

Napomnienia proroków, do Sydonu i Tyru obracane, zdają się potwierdzać przypuszczenie, które tu jest ubocznem. Przestajemy albowiem na tem tylko, że lud owy słowo (t. j. akcent każący samowładzy) z ubóstwiającej samowładztwo architektury wschodniej odjął, że przemienił już w siłę, bo w konstrukcję, i że stał się dla pierwszej epoki słowa rewolucją, a nie czując granic w tym kierunku, rozpłynął się jak druk po wszechświecie...

*

(Tu, — że słowa dzieje określając, przyjdzie nam na czas jakiś alfabet ten formalny pozostawić na boku, — dodamy, iż dobrze nam wiadomo, iż wynalazek ten, formą, jakoby słowa stać się mając, nie jest właściwie wynalazkiem, ale raczej odkryciem, i że drogi różnemi ku temu skościeleniu się dążono.

Firmament niebieski i upostaciowanie tegoż w fantastyczne dzieje konstelacyj długo były pisma przepowiednią; — tułający się, smutni i samotni tam pierw w kościół bez wiedzy promieniami westchnień się łączyli. Ślady tego są i w formalnym alfabecie.

Podobnież hieroglificzne próby wszystkie miejsce by tu powinny swoje znaleźć, z tych wszelako to tylko nadmienimy, że gdy z architektury znak wychodząc, począł ją osiadać inskrypcjami jak robactwo trupa toczonego, imiona wcielonych samogłosek, t.j. imiona panujący, pierścieniem osobnym określano, a Fenicjanie nawet, tak jak większa część ludów wschodnich, samogłosek domyślać się kazali, w mistycznym je przydechu połykając.

SŁOWO WCHODZI W HISTORJĘ. Uważaliśmy dotąd słowo naturalne w budowie swojej i granicach, tudzież słowo socjalne, słowo ono każące babilońskie w budowie swojej, t. j. pierwopomnikach symbolicznych (które dały nam początek alfabetu), i w granicach swoich, t. j. fenickiej rewolucji, na całość jako inicjum cywilizacji promieniejącej.

Od lat historycznego faktu historycznie już słowo uważać powinniśmy.

PLEMIONA. Plemiona historji nie stanowią, będąc dla niej materją, tak jak marmur dla sztuki; i rasy dopiero są do plemion tak jak grupa do tłumu, w nich jest pierwsze zaczucie przyrodzonego organizmu.

RASY — SŁOWO. Słowo rasy jest słowem ze krwi jeszcze, słowem temperamentu i dlatego przedstawia się w trzech typach natury muzycznej: 1° jako akcent, po polsku przycisk; 2° jako okrzyk, np.: „hurra!"; 3° jako motyw muzyczny.

Wszystkie te rodzaje słowa rasy osklepienia sobie właściwego akustycznego mieć nie mogą — tylko w słowie narodu, a to choćby dlatego, że akcent, t. j. przycisk, jest tylko jednostronnością języka, dialektem, — okrzyk jednostronnością stanowiska, — motyw zarodem, oczekującym przyzwoitego rozwinięcia.

Słowa ras więc dopiero w słowie się narodu osklepiają, albo pod litery obcej parciem w słowo narodu łączą; pierwsza droga opatrzna, fatalna druga.

POJĘCIA POWYŻSZE WOBEC DZIEJÓW. Ażeby pojęcia powyższe o słowie ras w obliczu dziejów odzobaczyć, trzeba wobec słowa narodu je uważać, do którego albo nie dochodząc, upadają w swojej odporności, albo organ właściwy jest ich w słowie narodu wyrażeniem; i tak w Grecji np.: eolijskie narzecza zastępują doryckie i jonickie, aż heleński język nareszcie je ogarnia. I tak w greckiej muzyce tryb frygijski kantykom obrzędowym, elegjackim lidyjski, a dorycki pieśniom towarzyszą bohaterskim.

SŁOWO NARODU. Że już słowo narodu uważamy (słowa rodów na teraz pominąwszy), trzebać już nam mówić o narodzie jakimkolwiek wyłącznym.

Grecja jest tym narodem, który miał to wyłączne powołanie i do którego też z porządku w tej historji słowa się zbliżamy. Tu wspomnijmy dwie rzeczy: 1° że alfabet w zawieszeniu zostawiliśmy zdala u Fenicjan, albo jeszcze w architektonicznej formie swej inskrypcji; 2° że słowo naturalne składa się: a) z aktu psychicznego, b) poczucia wydźwięku całomechaniką, organów głosowych, c) akustycznego, częścią onych organów, osklepienia.

Słowo Grecji przeto składa się: z aktu psychicznego wyroczni natchnionych, z poczucia wydźwięku całomechaniką organów głosowych, t. j. harmonji akcentów ras w muzyce, o czem mowa powyżej (w lirze)... i z akustycznego osklepienia, t. j. z onych plastycznych Dedala usiłowań, które sztuki plastycznej są początkiem.

Wyrocznia jest prawdą bezpośrednią, przy niej stoją prorocze kapłany, w wysłuchiwanie rzucanego bezładnie słowa wprawieni, dalej poetowie, w rytmu miarę zbierający to słowo (a później nawet prozaicy). W sztucznym rytmie poetów oddźwiękują językiem narodowym wszechnarzecza ras w pełnej swej harmonji i wszechstany serca człowieczego; i tak pieśń się rozpływa po wnętrznościach narodu, urabiając jakby całość ducha.

Na tem słowie psychicznem i wydźwięku jego rytmem, pieśnią, językiem, filozofją języka — zakreślają się koła postaciami żywemi tańców obrzędowych, igrzysk, wojowników rapsoda słuchających, starców w areopagu, lub akademików na ustroni, kolumn wreszcie półkola doryckich, jonickich i korynckich, albo i posągów, co z nią wyszły, i nareszcie duchów bohaterskich, wracający w Liry konstelację, co litera później Δ zmartwiała.

Przy tak skościelonej wewnątrz sile narodowej całości król (którego oskarżyć może efor, uniewinnić wyrocznia) staje w górze z wagami, całonarodowa treść a formę jakby odważając. Phidon, król argijski, jest wynalazcą wag i monet, które biją w Eginie.

Zaiste, piękna to harmonja i nie można się dziwić, że sie wydawało Platonowi, iż niebieską usłyszał!... Tu jednakże, bacząc na objętość niniejszego pisma, niech czytelnik potęguje sobie tę harmonję, zastępując np. akt psychiczny wy-

roczni przypowieścią Ezopa, lub gnomika (która naszym przysłowiom, lub hebrajskim Salomonowym przypowieściom odpowiada), Homerem, Eschylem, Sofoklesem i t. p. My zaś wróćmy do rzeczy.

Cóż więc słowem narodu? Cóż więc słowem Grecji, bo tu naród a Grecja jedno, bo ona to szczególnie ku wydaniu słowa narodu powołana.

Słowem narodu jest wszechstronność myśli jego, jest wszechharmonja składających naród elementów, jest wreszcie (jak to do budowy naturalnego słowa się odnosząc, uważać możemy) dopełnienie jakoby formą treści i odwrotnie...

Powinienby więc to być człowiek przez naród stworzony, i nie człowiek nawet, ale cherub, ale pół-bóg jakoby...

To też z pierwokształtu prostopadłej, z kolumny (z litery I) przeszedłszy do posągu, połączyła myśl Grecji Polikleta rzeźbiarza z Hippokratesem lekarzem, aby razem utworzyli kanon na człowieka, ku sharmonizowaniu—że tak śmiem tu orzec — *Ecce homo*. I cóż lekarz z rzeźbiarzem, lubo całonarodu harmonją duchową natchnieni, utrworzyli? Utworzyli wyraz dotykalny słowa narodu: *Styl*.

Styl a człowiek to jedno — a dlaczego?...

Bo styl nie jest już miejsca tylko rzeczą, lecz i czasu, — bo styl nietylko do narodu, ale i do Cywilizacji już należy.

To też jest on już słowem ożywiającem, choć nieżywem, bo człek stworzyć nie może i uzmartwychwstalić ledwo zdolny, co tak jasno widać w rzeźbie greckiej, w podniesieniu płci obojej do jednej miary ideału, w podniesieniu wieków do jednego czasu jakiegoś nad czasami, w podniesieniu nawet liści roślin do architektonicznej nadnatury. I te to zwycięstwo nad materją tak, iż okrzesz statuę, to

zostanie
Materji tyle prawie co gadanie...

stanowi właśnie tajemnicę wysokości stylu tego, do dziś promieniami pewnemi cywilizacji władnącego.

*

Przez to zatem wyjście ponad naród w cywilizacji sprawi „styl a człowiek to jedno" i stąd słowo narodu w dojrzałości takiej postawione od onego kanonu Polikleta do Mirona zstąpuje i Lizypa, który równoharmonijny pierwokształt (kwadrat □ tetragonom) na owalność, dłótu jego właściwą, przemieniwszy („quadratus veterum staturas permutando", Plin. XXXIV, 8), przywilej wyłączny portretowania Aleksandra Wielkiego otrzymuje. Ten — epopeję narodową i miecz kładzie pod głowy, gdy spoczywa; zdaje mu się niekiedy, że pierworodnym jest Jowisza, lub krew z rany cieknącą rozcierając: „O, towarzysze moi! — woła — krew ta krwią jest prawdziwą!"...

*

Zmartwychwstanie ono idealne nie tu wszakże tylko ma swe ujście; prawo liry wewnętrzne, na słowie narodu osklepione, w prawodawstwo pisane wpierw się zmienia (Lira w △ się obraca), z prawem wchodzi interes jako piękno, i historja jak prawda; pierwszy dramę ożywia, druga bierze w siebie epopeję. Całe słowo narodu, wychodząc z wnętrza duchowego, w chleb powszedni prozy się przelewa...

Papirusy egipskie upowijają pieśń gasnącą jako wnętrzne prawo całobytu. Czas przychodzi nareszcie, że pieśń zwana poezją służy tylko jak błysk, miejsca ciemne elokwencji publicznej wyświecając, albo nawet jak wybieg, ku zakryciu pięknem braku prawdy.

Z tego wszakże pojawu ostatniego, który pieśni żywej jest już radykalnem zepsowaniem, sztuka sylogizmowania ród swój bierze, niezadługo nadchodzi filozofja, a tak słowo, jeszcze przed ideałem narodu bohaterskim, przenosi się w dziedzinę ponadnarodowych interesów, w głosie żywym świadczące zmartwychwstaniu, w człowieka, co stanął słowem — Grecji przeciw prawa literze,... literze, co już i wyroczni nawet samej kłamstwem w piersi narodu odrzuciła, bo wyrocznia była z Sokratesem.

Tu to jakby już Rzymu czas nastąpił, powołaniem którego litera miała być, o tyle, o ile Grecja słowo wyraziła.

*

Tak więc słowo narodu widzieliśmy:

— W swoim akcie psychicznym, t. j. bezpośrednim natchnieniu wyroczni, kapłanów, tradycyjnej narodu moralności w gnomicznych przysłowiach, które prawdę z lirą połączają,— w pieśni, w cało-pieśni epopei, w misterjach, tragedji, w igrzyskach obrzędowych...

— W poczuciu wydźwięku cało-machiną organów głosowych, t. j. w motywach ras, językiem i filozofją języka narodowego ogarniętych, w motywach ras w muzyce narodowej...

— W akustycznem, częścią onych organów, osklepieniu, t. j. w porządkach architektury, motywa plastyczne w całość ogarniającej, Dorów, Jonów, Koryntu. W przeprowadzeniu od kolumny do zupełnej statuy onego poczucia plastycznego, — nareszcie w kanonie na człowieka.

— W całosłowie narodu, t. j. w *stylu*, który jest 1° pokojem wszechelementów narodowych 2° pokojem między narodem a cywilizacją, t. j. *słowem — Epoki*...

— W głosie prawdy, t. j. w Sokratesie, na którym prawda narodu się zamyka, bowiem w sprawę jego i głos wyroczni wchodzi...

— W czynie, t. j. w Aleksandrze Macedońskim, który prawo wewnętrzne (epos) i miecz razem jednoczy.

SŁOWO CYWILIZACJI (I LITERA). Słowo cywilizacji, które tu z porządku następuje, ograniczenie ma w epoce, czyli w czasie, pod którego przeto warunkami tu lub owdzie ma swój akt psychiczny. Trzeba więc być już więcej niźli ślepym, żeby nie widzieć, że w tem miejscu zaczepia, albo raczej poddaje się historja siłom nie od czło-

wieka, ani nawet od miejscowego w człowieku natchnienia pochodzącym. Czas albowiem od nas nie zależy.

ZATEM — WOBEC EPOKI: Samo to odwrócenie się porządku, t. j. że nie od aktu psychicznego, ale od określenia go epoką, od formy, słowo cywilizacji musiemy tu określać, — znaczy, że w czasie tego odwrócenia forma, t. j. litera głównem była zadaniem.

Rzym odebrał to wielkie powołanie. Od wieluż to czasów uważano, że literatura Rzymu w odwrotnie dodatni ma się sposób do słowa greckiego dzieł i dziejów!... Tak jest, arcygłębokie zagadnienie leży w tych pojęciach.

Jak się ma wewnętrzna epopeja do prawodawczego określenia, tak jest Grecja do Rzymu.

(Kiedy Sokrat już skonał, a świątynia Diany w Efezie ukończona, kiedy arcydzieło to plastycznego osklepienia ideału greckiej myśli gore, kiedy Aleksander się narodził, dorósł, rozniósł rzecz grecką, ile ta się mieczem ponieść dała, gdy Arystot zsumował mądrość Grecji i czasu, kiedy słowo-narodu w słowo głosu już przeszło (w elokwencję), — wysoko w tej sztuce postawieni: Diogenes stoik, Karneades i perypatetyk Krytolaus przybywają do Rzymu, jak posłowie... Mumjus w parę lat potem Korynt bierze, Grecja zawojowana, Kartagina w tymże samym roka obrócona w perzynę).

Rzym, — jeżeli od Romulusa począć mamy,— rozpoczyna się już przez organizatora tłumu z indywiduów złożonego; organizuje on małżeństwo z porwanemi kobiety, senatory wybiera, lud rozdziela na klasy... Jeżeli zaś od Numy Pompiljusza, Sabin ten bezpośredni z przyjazną mu nimfą ma stosunek, jak królowie późniejsi w chrześcijaństwie z uczonemi damy czasów swoich. Wyrocznie tu jeśli występują, jak np. Kwirynus konający, to odwrotnie, od końca dziejów państwa rzymskiego poczynając, — że Rzym będzie głową świata! Podobnież kobieta nieznajoma Tarkwinjuszowi Pysznemu zarys cały przyszłych państwa tego trudów wręcza, i to nawet literą już pisany. Możnaby powiedzieć, że profetyczny duch odwiewał ku wielkiemu końcowi rozpoczynającej się budowy...

Słowo-rodów (*gentes*) tu przebłyska, wszakże w militarną zaraz formę i literę prawa się przenosi, i tak, gdyby ród wymarł, do którego *sacra* przywiązane, testamentem wezwani powinni byli zastąpić to kim bliskim, aby przeto *sacra* nie ginęły. — Jednem słowem, litera prawa od początku religującym pierwiastkiem była tutaj, i nie wychodziło się ze świata wewnętrznego, jak u Greków, ze słowa narodu, z epopei, ale z przewidzianej i określonej naprzód formy, nawet i dla ostatnich państwa całego rezultatów (z litery-państwa, z ciała). Pozostawmy więc popęd ten, grabiący wszystkie ludki dokoła i zabierający niewolników, zarody instytucyj, sztuk początki i bogi miast przedewszystkiem przed ołtarze Romy przynoszone, Romy, tej litery, której nawet oryginalnie rzymskim kształtem nie umieli sztuką w ciało oblec; — pozostawmy ten język, ukazami do staroitalijskich ludów drobnych kształcący się dla Prawa, a uważmy literę, tak jak słowo w początku uważanem już było.

Z „ŻYWOTA BŁĘKITNEGO”

ŚWIAT UŚMIECHNIĘTY

Kto nie ścinał drewnianym pałasikiem ostów
i kto watah łopianu nie bijał, aż miło!
Kto nie budował mostów dla panów starostów
i nie zmiatał przed berkiem, ino się kurzyło!

Kto niebezpiecznych brodów nie miał — w płytkiem błocie
kto korabków na morze nie wypuszczał — w kuble!
Ledwo zachwycił pola, już myk! dziurą w płocie:
przyznał się kto, że boi się — stracha na wróble!?

Kto nie mościł kryjówek w szumiącej leszczynie!
Za wiewiórką, nie smyrgał pomiędzy orzechy!
i kto się nie ucieszył gniazdku w rokicinie!
— — — — — — — — — — — — — — — —
O, świecie, który jesteś blaskiem i uśmiechem!

NA RYNKU

Pstre kramy i pstre baby. A słonko się śmieje!
(— Łokieć perkalu tynfa! Wstydźże się kupczycha!
— Tańszy parch! Niech paniusi będzie dobrodziejem!)
... — Patrzcie żaka, mądralę! Jak to się rozpycha!

Kto zgrabniej biret nosi, milej oczkiem strzela?
(Nie żak, sam idzie amor, obaczony we śnie!)
...Jest ci na Rynku smatruz, kram, jeden wśród wiela:
anioł z pysia, Petrysia sprzedaje w nim trześnie.

Trajkotna kaletniczka paśniczkę w bok trąca,
śmiech, po sąsiedzku, z kramu do kramu się bisi:
— Poczerwieniałaś, Petryś! Pewnie od gorąca!
— Myśl, żaku: słodziej trześnie, czy usta Petrysi!?

KSIĘŻYC

Kluczny bursę przeżegnał, drzwi zawarł zaworą,
spojrzał (— Śpią żaki!), ziewnął i kaganek zdmuchnął.
...A ktoś przecie, — hej, kluczny! — wieczorową porą
z okna w bzy leci, smyka za furtę leciuchno!

Rajca pił długo, długo kołatał do domu.
Czuj, drabanty! — Huknęły o ziemię berdysze.
...A ktoś przecie — hej, draby! — niechwytny nikomu
w miasto biegnie, jak księżyc, od tej ciszy ciszej!

Wszedł na basztę astrolog, w niebieską dal mierzy:
„*Mirabilis conjunctio* dwuch gwiazd aspekt zmienia”...
...A ktoś przecie — z księżycem! — przemknął się w alkierzyk
i w pocałunek wemknął dwa jasne westchnienia!

JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

† Michał Bobrzyński

PRZECHODZIMY w nowy okres dziejów Polski: wymierają jeden po drugim ludzie, którzy w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu zajmowali w życiu narodowem stanowisko kierownicze, ludzie, których pojęcia podstawowe i charaktery ukształtowały się jeszcze w dobie niewoli, a którzy — siłą swych indywidualności i talentów — narzucali swoje poglądy młodszym i najmłodszym, wpływając w sposób stanowczy na ducha i formy, jakie przybierał rozwój stosunków politycznych w odrodzonem Państwie. Obecnie, z konieczności już, ci młodsi i najmłodsi zmuszeni będą samodzielnie szukać swej drogi, z własnych szeregów dobyć myśli przewodnie wśród tak zmienionych i zmieniających się ustawicznie warunków. Ileż zagadnień trzeba będzie rozpatrzeć na nowo, z iluż suggestyj wyzwolić się, żeby zdobyć jasność sądu!

Jedną z takich kierowniczych postaci w Polsce w ostatniem półwieczu był niewątpliwie — zmarły przed kilkoma dniami — ś. p. prof. Michał Bobrzyński (1849 — 1935). Nietylko dlatego, że przez długi szereg lat był przywódcą stronnictwa t. zw. konserwatystów krakowskich, posłem na sejm krajowy we Lwowie i do austrjackiej rady państwa, że przez czas jakiś (1908 — 1913) zajmował ważny i wysoki urząd namiestnika Galicji. Nietylko dlatego, że na tem ostatniem stanowisku sformował blok partji zachowawczej z radykalnemi przeciwko wszechpolakom, w czasie wojny przetworzony w galicyjski N. K. N., a i po wojnie odżywający we współpracy pewnych odłamów prawicy i lewicy, jednoczących się celem zwalczania „nacjonalizmu"... Najtrwalszy wpływ polityczny wywarł Bobrzyński właśnie jako historyk i wiele zjawisk w życiu Polski odrodzonej, wiele obecnych nienormalności i błędów ma u podstawy swej pogląd na dzieje Polski dawnej, z dzieł Bobrzyńskiego przejęty i przyswojony. Tu po dziś dzień ulega mu niemal całe pokolenie, często bezwiednie, a przecież nie wydostając się z kręgu, zakreślonego przezeń, — pojęć o przeszłości...

Sukces „Dziejów Polski" Bobrzyńskiego [1]) tłumaczy się w pewnym stopniu faktem, że były one—skoro Lelewel już nie wystarczał—jedynym właściwie zarysem syntetycznym, dostępnym dla szerokich kół warstwy oświeconej, podczas gdy inni, wybitni przedstawiciele dziejopisarstwa w owym czasie, albo ograniczali się do monografij, albo, jak Szujski („Historji polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście"), suchością stylu, przeładowaniem swoich prac szczegółami, odstręczali od ich lektury liczniejszych czytelników. Bobrzyński oddziałał przedewszystkiem talentem pisarskim, przejrzystością wykładu, energją, z jaką stawiał swoje tezy i z jaką ich bronił, uzbrojony w niepospolitą wiedzę historyka i prawnika, świetnością polemiczną i dialektyczną. Opinje jego, powtarzane w dziełkach popularyzatorów, w publicystyce i t. d., przyjmował ogół — nieraz nie zapoznawszy się z ich autorem, — jako nieodwołalny już werdykt nauki, rzecz dowiedzioną i przesądzoną. Wszak i w dyskusjach, które praca jego wywołała, częściej pytano się, czy wolno patrjocie poglądy takie o przeszłości narodu publikować, aniżeli próbowano kwestjonować ich prawdziwość.

A tymczasem synteza historyczna Bobrzyńskiego jest czemś i osobistem bardzo i chwilowem, zaś przedewszystkiem wynikiem i odzwierciadleniem momentu dziejowego, w którym powstała. Pisał swe dzieło w siódmym dziesiątku lat ubiegłego wieku, w okresie największego pognębienia narodu, gdy z dawnej Polski nic już niemal nie pozostało w formach i instytucjach życia publicznego. Mimowolnie też ten porządek prawno-polityczny, jaki widział dookoła, w państwach zaborczych, traktował jako poniekąd normę, miarę, z którą zestawiał i według której oceniał znane mu tylko ze źródeł historycznych urządzenia dawnej Rzplitej. Mimowolnie dochodził do przeświadczenia, że skoro tamte państwa triumfują, a Rzplita upadła, przyczyny klęski szukać należy w tem, co nas od nich różniło, więc w odmiennościach, w odrębnych cechach naszego bytu zbiorowego i ustroju.

Stąd pochodzi swoisty w jego dziele rodzaj mikromanji (jakże znamienne jest np. zdanie, wypowiedziane o projekcie powołania na tron rodaka, którego na elekcji w r. 1575 zalecał Jan Zamoyski: „Jeszcze tron Jagiellonów tak nisko nie upadł, aby na nim zasiąść miał Tęczyński albo Kostka"— „Dzieje Polski" t. II, § 79), odruchowo negatywna postawa wobec wszystkiego, co w naszej tradycji politycznej było oryginalne, rodzime. Stąd tendencja do ujmowania celów zbiorowości w kategorjach t. zw. racji stanu, nie troszcząc się bynajmniej o to, czy np. dalszy rozrost terytorjalny Państwa i wkroczenie w nowe sfery oddziaływań nie odbiłoby się w sposób niebezpieczny na jego narodowym charakterze. Stąd, przedewszystkiem, ów kult „silnej władzy rządowej" i w jej braku szukanie źródła wszelkich nieszczęść, choć i państwa o absolutystycznym ustroju niejednokrotnie upadały („a nie zmartwychwstają" — możnaby dodać z Mickiewiczem), zaś w naszych dziejach polityka królów, przekraczających zakres swych uprawnień, z reguły przecież wiodła Rzplitą nie do powodzeń, ale do katastrofy [2]).

I jeszcze na jeden, nader znamienny rys poglądów historycznych Bobrzyńskiego należy zwrócić uwagę. Z temperamentu, z usposobienia człowiek partji, zamiłowany w walce politycznej, dzieje narodu wyobraża sobie zawsze jako ścieranie się poszczególnych grup i tendencyj, i w bezwzględnym triumfie jednej z nich, w pognębieniu

---

[1]) Michał Bobrzyński: „Dzieje Polski w zarysie" wyd. I w r. 1877, wyd. II w r. 1880, wyd. III w r. 1886, wyd. IV po wojnie z dodatkiem tomu III (Dzieje porozbiorowe) w r. 1931.

[2]) Zapatrzony w zagadnienie „silnej władzy", pomija Bobrzyński realne całkiem i ważne niewątpliwie przyczyny słabości i upadku Rzplitej. Tak np. osiadają na ziemiach naszych żydzi, od połowy XVII stulecia gromadnie, w chwili rozbiorów stanowią już więcej niż dziesiątą część ludności Polski. Opanowują miasta, rozpajają wieś, prowadzą własną politykę, oddziaływają na bieg wypadków w kraju (np. wpływ na wybuch buntów kozackich, zrywanie sejmów itd.) O tem wszystkiem w „Dziejach" Bobrzyńskiego ani słowa, poprostu nie zauważa on tych zjawisk, a w indeksie alfabetycznym, zamieszczonym w końcu tomu II (wyd. II r. 1881), można sprawdzić, iż wspomina w dziele swojem o Łotyszach, Serbach it.p. ale żydów — wcale nawet w spisie nie wymienia...

przez nią pozostałych widzi właściwe, jedynie pomyślne rozstrzygnięcie sprawy. Nic równie charakterystycznego, jak stosunek jego do kwestji reformacji i katolicyzmu w XVI stuleciu: gotów cieszyć się zwycięstwem jednej lub drugiej strony, choćby „przyszło... do starcia i zawieruchy”, byleby zwycięzcy narzucili swoją wolę i posłuch zwyciężonym, ale oburza go „zgniły kompromis“ statutów o tolerancji... Fakty, świadczące o poczuciu jedności narodowej są, według niego, tylko „miękkością”, objawem „braku odwagi”: gorszy go, kiedy Jan Zamoyski, mając okazję, drogą zamachu nie ujmuje w swoje ręce władzy, oburza się, gdy Sobieski nie detronizuje siłą króla Michała, ale na wieść, że Turcy wkroczyli w granice Rzplitej, godzi się z nim i na czele zgromadzonych wojsk ciągnie pod Chocim...

Pogarda dla własnych tradycyj ustrojowych, kult „silnej ręki”, apoteoza wojny domowej — to w dużej mierze praktyczne wskazania kierownicze, które w Bobrzyńskim — jako wniosek z tysiącletnich dziejów Ojczyzny — odnalazło współczesne mu pokolenie. To, jednocześnie, ideje, z których suggestją będzie musiało rozprawić się pokolenie następne...

Ale, zwalczając je, zawsze powinno zachować w pamięci, co w autorze „Dziejów Polski” stanowi wartość najgłębszą: jego płomienny, z każdej karty dzieła jego widoczny—patrjotyzm. Ze wzruszeniem dziś, w Polsce niepodległej, czytamy słowa, jakiemi ten „umiarkowany“, „trzeźwy ugodowiec“, w najbeznadziejniejszej w historji naszej dobie, w roku 1884 formułował swoje *credo*, swój program polityczny:

„Opiera się on na głębokiej wierze w żywotność naszego narodu, na niewzruszonem przekonaniu, że własnemi siłami zdołamy odzyskać w s z y s t k o, powtarzam: w s z y s t k o, cośmy stracili“ [3]).

To też dziś, ogarniając myślą puściznę Bobrzyńskiego, spoglądamy na nią, jako na—jeden z wielu—przejaw męczarni duszy polskiej, zmagającej się z niewolą, szukającej — po wszystkich manowcach—drogi ku wyzwoleniu.

Z szacunkiem pochylamy głowę przed jego trumną.

JAN REMBIELIŃSKI

---

[3]) W rozprawce p. t. „Stańczyk”, przedrukowanej w zbiorze „Studja i szkice historyczne“, Kraków 1922, t. II, str. 129.

GŁOSY

NA TAJNEM, MARTWEM POSIEDZENIU odczytano decyzję p. ministra spraw wewnętrznych, rozwiązującą łódzką Radę Miejską. Powody rozwiązania podano dwa: jeden mówił o niemożności ułożenia przez nią budżetu, drugi o niezdolności wybrania prezydjum miasta.

A tymczasem powszechnie jest wiadomo, że preliminowany budżet nie został przegłosowany jedynie wskutek stanowiska klubu radzieckiego B. B. Wszak Klub Narodowy przebywał wówczas manifestacyjnie na sali obrad do godziny piątej rano! Co się zaś tyczy prezydjum miasta, to było ono wybrane przecież zgodnie z obowiązującemi przepisami, a tylko władze ministerjalne go nie zatwierdziły. Powodu więc do rozwiązania Rady nie było w gruncie rzeczy żadnego.

Ale... większość radnych nastrojona była opozycyjnie... Mówmy ściślej: narodowo. I to dzisiaj wystarcza do stosowania bezwzględnego nacisku.

Jeśli wymagaliśmy ściślejszego określenia, to dlatego, że, jak się okazuje, opozycyjny charakter samorządu jeszcze nie kole w oczy sfer rządowych. Wszak zatwierdzono nowowybrane prezydja Radomia i Piotrkowa, miast, gdzie, skutkiem unieważnień list narodowych, z list wyborczych wyszły większości socjalistyczne. Z tego wynika, że albo nastroje o marksowskiem obliczu lekceważy się poprostu, albo specjalnie nęka się front narodowy. I jedno i drugie.

Narodowa Łódź, mimo iż jej nie dano pracować na terenie samorządowym, postawą swych radnych dokonała poważnego dzieła. Udowodniła całej Polsce, że Obóz Narodowy rozwiązanie kwestji żydowskiej widzi przedewszystkiem w zastosowaniu środków przymusu państwowego, oraz że przyrzeczeń swych danych społeczeństwu dotrzyma. Dzisiaj, gdy rządy na ratuszu obejmuje komisaryczny prezydent, młody zespół radnych cały swój wysiłek poświęci pracy wśród tysiącznych szeregów dawnych swoich wyborców, ażeby ich w dalszym ciągu, mimo kłód ciskanych pod nogi, wieść ku Wielkiej Polsce.

P. LEON OKRĘT, ruchliwy sprawozdawca sądowy „Kurjera Porannego“ wydał swoje sprawozdania w książce p. t. „Winien czy nie winien?” Pochlebne wzmianki o tej pracy „złożył do swego archiwum osobistego z wielką dla autorów wdzięcznością” i syt chwały pojechał na wywczasy. Aliści kilka dni temu przeczytał artykuł o swojej książce, „którego do archiwum nie złoży”. Gdzie był ten artykuł? W „Wiadomościach Literackich”, na których recenzjach urabiają swój sąd literacki wszyscy czytelnicy „Kurjera Porannego”. Kto to pisał ten artykuł? Sam p. Wassercug-Wasowski, subtelny filar „Ligi Obrony Praw Człowieka”, uczony adwokat wszystkich uciśnionych, pogromca więziennictwa polskiego, oczywiście z epoki przedberezkiej, delikatny człowiek, profesor Wyższej Szkoły Dziennikarskiej.

A co napisał ten sławny profesor o sławnym mecenasie Okręcie? Ni mniej ni więcej zarzucił mu „oschłość”. I to oschłość „kokieteryjną, maskowaną, elokwentną”—słowem same „przenikliwe epitety”, jak je określił mecenas Okręt. Na domiar złego zarzucił mu „czołobitność” wobec prokuratorów!

Takie straszne zarzuty wyprowadziły sprawozdawcę „Kurjera Porannego” z równowagi i kropnął w n-rze 181 „Kurjera Porannego” 300-wierszową replikę, która jest pysznym przykładem „ich” polemiki. Oto próbka:

„W jakiejś komedyjce francuskiej—rozgniewana na kochanka niewiasta nagadała rzeczy strasznych protektorowi młodego człowieka. „Coś ty jemu naopowiadała, pyta kochanek, że on się tak na mnie obruszył?“

— Co naopowiadałam? — odparła dumnie i wyniośle:—*Des mensonges!* Kłamstwa!

P. Wasowski, jeśli go zapytają, co on takiego napisał, że autor książki „Winien czy nie winien?“ chodzi rozżalony po mieście do ostatniej chwili redakcyjnego

urlopu — może śmiało odpowiedzieć — wyniośle i dumnie: „Co napisałem? *Des mensonges!* Kłamstwa!"

Skutek niezawodny. Ale talentu do tego nie trzeba; i talent żacha się takiego prostactwa. To dobre dla kochanki z komedyjki. P. Wasowski jest niewybredny".

Tym trybem „żacha się" p. Okręt przez 300 wierszy, obficie cytując obcych autorów i różnojęzyczne przysłowia, niekiedy zupełnie źle zrozumiane.

Cytuje różne rzekomo niesłuszne cytaty recenzji p. Wasowskiego, a nawet ośmiela się delikatnemu epikurejczykowi z „Wiadomości" rzucić cokolwiek brutalne słowa:

„Sądzę więc, że w tym stanie rzeczy (*his rebus stantibus*, jak zacytowałby p. Wasowski, przypisując zresztą, dla zachowania tradycji, cytatę Horacemu lub Wirgiljuszowi) oskarżenie sprawozdawcy „Kurjera Porannego", autora książki „Winien czy nie winien?" o oschłość zamaskowaną, o czołobitność, przywarę dusz małostkowych i pełzających, o potulność względem wszelkich wyroków (proszę przeczytać, jak to wygląda w książce: strona 216), o nawoływanie do kagańca na krytyków sądu, sędziów i prokuratorów—jest nieuzasadnione, niesłuszne, na żadnych konkretnych danych nie osnute i niczem nieudowodnione.

To nie jest nawet oskarżenie, to jest zwyczajne świństwo.

Z przykrością używam tego terminu..."

Człowiek to czyta, czyta i myśli: „Co za śmiałek z tego p. Okręta? Jak on się nie boi w tym tonie polemizować z samym Wasowskim? Czy ta afera nie skończy się jakim pojedynkiem?

Ale może nie. Bo oto jakie zdanie Tołstoja przypomina p. Okręt p. Wasowskiemu:

„Czego ty się ludzi boisz; nie bój się; idź do łaźni i popatrz, jacy tam oni są wszyscy jednakowi".

Czy wszyscy ludzie są w łaźni jednakowi? Wątpimy, ale sądzimy, że p. Wasowski i p. Okręt okażą się w każdym razie podobni.

Więc czy nie filut z tego pana Okręta. Nic mu nie będzie!

NAUKA i LITERATURA

„O WIELOŚCI CYWILIZACYJ"

ZNAKOMITY badacz dziejów cywilizacji, b. profesor uniw. wileńskiego, Feliks Koneczny, autor cennego dzieła „Polskie Logos i Ethos", „Dziejów Rosji" i wielu innych prac, wydał obecnie w Krakowie dzieło p. t. „O wielości cywilizacyj"[1]). Na przyszły rok zapowiada jako uzupełnienie tego dzieła rzecz „O postępie moralności".

Na dzieło prof. Konecznego, obecnie wydane, zwrócić należy baczną uwagę. Nie rozumie dziejów ludzkości, kto nie patrzy na nie ze stanowiska nauki o cywilizacjach.

Dzieło prof. Konecznego składa się z 8 rozdziałów. Rozdział wstępny ma dwie części: Od Bacona do Majewskiego i Wspominka o Kołłątaju. Rozdz. II Zawiązki wszelkiej kultury. III Trójprawo (familijne, majątkowe, rodowe). IV Zrzeszenia i metody. V Cywilizacja a rasa. VI Cywilizacja a język. VII Cywilizacja a religja. VIII Próba systematyki.

Dzieło, zawierające tyle zagadnień wielkiej doniosłości, stanie się niewątpliwie przedmiotem ożywionej dyskusji w świecie naukowym. Dając narazie tylko wiadomość o pojawieniu się dzieła, pozwalamy sobie przytoczyć z zakończenia ustęp, aby dać miarę, jaką wagę do tych zagadnień sam autor przywiązuje. Oto jego słowa:

„Od dawna rzucanie światoglądów stało się jakby monopolem przyrodników. Życie historyczne podsumowano pod prawa biologiczne. Klio sama zawiniła niemało, że zdegradowano ją na piąte koło u wozu Przyrody. Upadek nauk humanistycznych dawał też i daje coraz więcej pola wszelakiemu szarlatańtwu w życiu publicznem...

Obecnie atoli nauki te opatrzone są w metody wydoskonalone znakomicie; czemuż więc nie nadrobić, co się zaniedbało; czemu nie posunąć się ku szczytom, nie pokusić się o światogląd oparty na badaniach humanistycznych?

Głoszę tedy renesans nauk humanistycznych. Mniemam, że nie będą one już ustępowały w niczem „umiejętności ścisłej" nauk przyrodniczych. Historja zdoła odkryć i wykazać swe „pewniki" i „prawa" metodą własną. Nie idę z tymi, którzy chcieliby zrobić z historji coś nakształt nauk przyrodniczych. W upodobnianiu się do nich upatrywałbym wykolejenie, grożące w dalszym ciągu degeneracją. Pewne próby, podjęte ze strony niektórych historyków, żeby wydoskonalić Historję upodobnianiem jej do nauk przyrodniczych, uważam za nieporozumienie, które będzie zapewne krótkotrwałem.

Róbmy każdy swoje, przyrodnik i humanista, po swojemu, własnemi metodami, a wtedy właśnie znajdziemy się na dobrej drodze ku owym wyżynom, gdzie wszystko się zbiega, gdzie znać związek wszystkiego ze wszystkiem.

Powiodło mi się, jak przypuszczam, wskazać kierunek nowej drogi dla pielgrzymujących do Prawdy. Chodzi o metodę nauki o cywilizacji. Pragnę tylko, by książka okazała się godną tego, żeby ją poprawiano i żeby dostarczała wątku do dalszych roztrząsań. Wiem, że daję niniejszem zaledwie szkic.

Pocieszam się nadzieją, że poruszone w tej książce kwestje zadomowią się w nauce polskiej. Z takiego rezultatu byłbym nietylko zadowolony, lecz szczęśliwy, bez względu na to, ile z pracy mej ostoi się, a ile będzie musiało być wycofane wobec dokładniejszych badań mych następców.

I oto nawinął się wyraz właściwy, wyrażający wszystkie me marzenia: chciałbym mieć następców!

A gdy nadejdzie czas syntezy, gdy wyniknie z niej skuteczne dochodzenie praw dziejowych, natenczas także poszczególne działy historji nabędą cech umiejętności i nie będzie już słychać pytania: czy historja jest nauką?

I będzie Historja w dalszym rozwoju służyć do roztrząsania twórczego wielkich zagadnień człowieka i człowieczeństwa, wspinająca się po szczeblach abstraktów aż do przedsionka porządku nadprzyrodzonego, roztrząsająca własną metodą zagadnienie stosunku Myśli a Bytu.

[1]) Feliks Koneczny: „O wielości cywilizacyj", Kraków, 1935. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Str. 322.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Instytut Literacki wydał nowy tom „Rocznika Literackiego" (1934). Nakładem Instytutu ukazał się świeżo czwarty zeszyt kwartalnika „Marchołt", wychodzącego pod redakcją prof. S. Kołaczkowskiego. Prace swoje zamieścili: S. Pigoń, A. Górski, M. Dąbrowska, R. Dyboski, W. Borowy, K. Wyka, S. Zabierowski, T. Makarewicz. Prócz tego przekład rozprawy B. Croce „Antyhistoryzm".

Instytut Literacki przystępuje do wydania wszystkich dzieł St. Brzozowskiego w 12 tomach. W roku bież. ukażą się 4 tomy.

*

Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus) „Ach,— te „Chamy" w Ameryce", str. 225, Warszawa, 1925 r., Dom Książki Polskiej. Poczytny autor powieści „O Kazimierzu Pułaskim", powieści z epoki Napoleona i powstania listopadowego, opowiadań o charakterze publicystycznym: „Królobójcy", „Anarchiści" i „Nihiliści", wreszcie studjum o Ameryce współczesnej, — wydał zbiór artykułów, przedstawiających życie polskiej emigracji za oceanem. W Ameryce przebył szereg lat i zapoznał się z działaniem organizacyj, które emigracji polskiej, podobnie, jak emigracjom innych narodów, pomogły zachować odrębne cechy i ideały. Starania te były o tyle trudne, że władze amerykańskie w dobie prezydentury Lincolna, a i później, ze względów lojalności wo-

bec państw zaborczych, przeszkadzały tworzeniu się tych organizacyj, a w spisach ludności, określających przynależność narodową, podawały Polaków jako Niemców, Rosjan, Austrjaków i Węgrów. Tymczasem przybywały coraz nowe fale wychodźców, przeważnie wiejskiego ludu, co umacniało, nietylko liczebność emigracji, ale jej tężyznę duchową. Wyrastały nowe pokolenia, tak że dziś na pięć miljonów Polaków zaledwie niecałe półtora miljona jest urodzonych poza Ameryką. Kościół, który w państwach zaborczych łączył lud z tradycją Polski historycznej, w Ameryce, pod władzą biskupów Irlandczyków i Niemców, działał w kierunku wynarodowienia, tak jak i różne amerykańskie przepisy prawne.

Ilu, oderwanych od ziemi ojczystej i słowa, „zamerykanizowało się" i przepadło dla polskości, nie da się obliczyć. Obecnie stan świadomości narodowej i serdecznego związku ze „starym krajem", oparty na realnych podstawach finansowych, jest coraz bliższy, żywszy. „Związek Narodowy Polski" i „Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie" mają krocie członków, pracowników „płci obojga, ubezpieczonych na wypadek śmierci, płacących regularnie składki" i wielomiljonowe majątki.

Książka wnosi o tych sprawach wiele wiadomości. Talent gawędziarski Gąsiorowskiego ukazuje w opisach i djalogach charakterystyczne sylwety amerykańskich Polaków, robotników, rolników, kupców i przedsiębiorców, sylwety działaczów narodowych, i tempo, rozmach pracy polskiej w kraju dolara. Także cenne, jako wskazówki dla przyszłości, są uwagi o brakach w dziedzinie szkolnictwa, braku odpowiednich podręczników, wskutek czego np. „trzysta dwadzieścia tysięcy dziatwy polskiej trwa poza granicami polskiego alfabetu". Ze znajomością rzeczy omawia autor możność nawiązania bezpośrednich z Polską stosunków handlowych, po zapomnieniu z biegiem czasu, do dziś tam pamiętnych strat, jakie Amerykanie polskiej narodowości ponieśli na pożyczkach, subskrybowanych hojnie w pierwszych latach niepodległości. Słowem, materjał w tych wszystkich kwestjach obfity.

Niewłaściwą wydaje się natomiast, zaznaczone w tytule, *per* chamy, i to w cudzysłowie, przekonanie, mające ilustrować, rzekomo lekceważący i wzgardliwy, stosunek Polaków miejscowych do tamtejszych chłopów, „chamów". Nikt wzgardliwie o chłopach nie mówi, chyba jakieś łobuzy, co nie nadaje się do uogólniania. (A. W.)

*

S t a n i s ł a w C z a j k o w s k i, „Apollinida", Warszawa 1935 r.

Mała rzecz, format szesnastki, str. 56. W gatunku — bajka, i to poetycka, wynikła z zadumy estety, dążącego do symbolizowania jakiegoś wielkiego poglądu na świat.

Wzmiankę o swych założeniach ideowych daje autor w komentarzu do wstępu, gdzie powiada, iż punktem wyjścia jego rozważań są „Narodziny Tragedji" Fr. Nietschego. Jak z dalszych wynurzeń wynika, tak w życiu ludzkości, jak i w sztuce mamy do czynienia z grą pierwiastków „djonizyjskich" i „apollinowych", tylko że Nietzsche pierwszym przyznawał przewagę, natomiast p. Cz. twierdzi, że „apollinowe" są ważniejsze i dominują. To są pierwiastki treści i według nich należy klasyfikować artystów, jako że podział na klasyków i romantyków, panujący w podręcznikach szkolnych, nie jest istotny, nie uwzględnił bowiem ducha sztuki, tylko „sposób objawiania się formy".

Ten podział nie ustala ocen, charakterystyki epok zmieniają się zależnie od tego, co po nich następuje. Tymczasem żywioł apollinowy (bezinteresowna miłość piękna, duch konstruktywny, żądza nieśmiertelności, „Ład") i djonizyjski („pragnienie samounicestwienia się w bachicznym entuzjazmie", „Szał") to są stałe i zasadnicze dążności natury ludzkiej, występujące zawsze i wszędzie.

Trudno w krótkiej notatce polemizować z tem stanowiskiem.

Jest aprioryczne, za punkt wyjścia służy tu przecież pogląd psychologiczny o pewnych niezmiennych tendencjach duszy twórcy. Ma charakter dedukcyjny i przeto pachnie niemiecką szkołą krytyki literackiej, analitycznej i schematycznej.

Sądząc z zamierzeń wstępnych, utwór „Apollinida" niezupełnie się udał. Alegorja robi wrażenie raczej melancholijnej, dziewczęcej noweli o motywie palingenezy, przeprowadzonym nakształt „Duchów" Al. Świętochowskiego, albo „Erosa i Psyche" J. Żuławskiego. Postacie i sceny mitologiczne, nastrój sielankowy. (T. D.)

*

Gdzie te czasy, kiedy to w „Zajmujących czytankach dla młodzieży" pospołu z bajkami o wróżkach, czarnych perłach, dziewicach jeziora i romantycznych rycerzach średniowiecznych mieściły się — równie „fantastyczne" czy „nieprawdopodobne" — opowiadania, noszące tytuł „Balonem od bieguna". Dziś już „wszystko to być może" — ale nikt tego nie włoży między bajki.

Zgoła nie fantastyczny, ale owszem całkiem rzeczowy, nieraz po naukowemu zwięzły i suchy ton ma książka S t e f a n j i S e m p o ł o w s k i e j p. t. „Na ratunek" (wyd. „Rój"). Jest to relacja o pamiętnej, słynnej na cały świat wyprawie generała Nobilego, zakończonej katastrofą, która pobudziła do akcji ratowniczej wiele krajów, głównie zaś Rosję sowiecką. Autorka oparła się na obfitym materjale dokumentarnym, a więc na relacjach ajencyj prasowych, na zapiskach uczestników tak samej wyprawy, jak i akcji ratowniczej, wreszcie zaś na autentycznych zdjęciach fotograficznych, których część reprodukowano w książce, dodano też pożyteczne mapki orjentacyjne. Całość została poprzedzona historją analogicznych wypraw dawniejszych (zwł. Andréego.) Książka — mimo drobnych usterek stylistycznych ma wielką wartość, a może stanowić pożyteczną lekturę dla młodzieży, narówni z wydaną niedawno na podobny temat pracą czeskiego podróżnika polarnego, Szmejkala.

(J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wśród nowości książkowych francuskich pięknie się zapowiada trzytomowa epopeja arabska braci T h a r a u d p. t. *„Les mille et un jours de l'Islam"* („Tysiąc i jeden dni Islamu"), której pierwszy tom p. t. *„Les Cavaliers d'Allah"* świeżo wyszedł z druku. W dziele powyższem autorzy zamieszczają dość żywy obraz Afryki północnej, obejmujący czasy od wejścia tam Arabów aż do chwili przybycia do Fezu Francuzów, słowem dwunastowiekowe dzieje tego kraju, obfitujące w niezwykłe zdarzenia i przygody. Rzecz ta oparta została na kronikach muzułmańskich. (W. J.)

NOWE KSIĄŻKI

O d c z y t y p o l s k i e na zjeździe filozoficznym w Pradze 1934. Warsz. 1934. „Przegląd Filozoficzny", rok 37, zesz. 4-y. Str. 140.

P i g w a S z y m o n. Wołanie nowiu. (Poezje). Poznań 1935 (200 egz.)

C h ę t n i k A d a m. Spław na Narwi. Tratwy, orylo i orylka. Studjum etnograficzne z mapką i 82 ilustr. Warsz. 1935. Kasa Mianowskiego. Str. 138.

C z a j k o w s k i S t a n i s ł a w. Apollinida (poezje prozą). Warsz. 1935.

G l u z i ń s k i T a d e u s z. Odrodzenie idealizmu politycznego. Warsz. 1935. Dom Ks. Polsk. S. 173.

K o n d e r s k i W a c ł a w. Gdański 1933—1934. Gdańsk 1935. Tow. Przyj. Nauk. Str. 36. „Przegląd Współczesny". Maj 1935.

C o n r a d J o s e p h. Zwierciadło morza. Warsz. 1935. Dom Ks. Pol.

S z a n t r o c h T a d e u s z. Po Czabańskim gościńcu. (Poezje). Kraków 1935. Geb. i Wolff.

P i e s t r z y ń s k i R y s z a r d. W nowym ustroju. (Z tekstem konstytucji). Poznań 1935. S. 152.

P r z e g l ą d P o w s z e c h n y. Czerwiec.

S t a n i s ł a w s k a A n n a. Transakcja albo opisanie całego życia jednej sieroty przez żałosne treny od tejże samej pisane r. 1685. Wydała Ida Kotowa. Kraków 1935. Bibl. pisarzów polskich nr. 85. Akad. Umiej. str. XIII i 226.

S i l n i c k i T a d e u s z. Rola dziejowa kościoła polskiego na Śląsku w w. XI — XIII. Katowice 1935. Instytut Śląski. Str. 46.

R e i s s J ó z e f. Socjologiczne podłoże śląskiej pieśni ludowej. Katowice 1935. Instytut Śląski. Str. 32.

O l b r a c h t I w a n. Nikoła Szunaj. Zbójnik. Powieść. Przekład z czeskiego D. Oniszczyka. Przedmowa Hulki Laskowskiego. Warsz. 1935. Wyd. Nowoczesne.

P a m i ę t n i k L u b e l s k i za lata 1931 — 1934 (T. II) Lublin 1935. Tow. Przyjaciół Nauk. S. 330 z ilustr.

F u n d a c j a im. Franciszka Nowodworskiego. Warsz. 1935. Nakładem Fundacji. S. 80.

POKŁOSIE

ELEKTROWNIA

PRZYZNAM się, że dawno nie czytałem tak uderzającego opisu stosunków wiejskich, jak w jednym z „Listów ze wsi" Tad. Opioły, drukowanych w „ABC". Autor, dobry znawca życia wsi małopolskiej, a pisarz plastyczny, opowiada, co widział, idąc po wsi „spacerkiem":

„...Widzę ruch dawniej o tym czasie niebywały. Ludzie kręcą się tu i tam, siedzą na przyzbach, stoją przy opłotkach, gapią się...

— Coś jakby święto? — zagaduję towarzyszącego mi gospodarza.

— Bo też poprawdzie przez cały rok cięgiem u nas świętowanie. Mają ludzie dość czasu i choćby kto nie chciał, z musu świętuje. Z musu! — przyświadczył sobie jeszcze raz..."

A dalej kłótnia małżeńska.

„Gdzieś od zagród dolatują odgłosy kłótni. Kobieta wymyśla chłopu:

— Jużeś podpatrzył? A z czem pójdę na targ do miasta, za co kupię soli? Jużeś podpatrzył?

Przystanąłem zadziwiony, by przekonać się, co takiego chłop babie podpatrzył i czy dobrze podpatrzył. Nie dostrzegłem, co mógł podpatrzeć, więc pytam znajomka.

— Ano nic takiego! — powiada. — Nawet i po kilka razy dziennie można takie swarzenie się usłyszeć. Najgorsze te trafiki.

— Co babie do trafiki?

— Aż śmiesznie powiedzieć. Bo to, widzicie, chłopu chce się kurzyć. Ma czasu dosyć, to kręci się koło szopy i słucha tylko, czy która kura gdacze. A jak zniesie jajko, to chłop cichcem wynosi je do trafiki. Potem odkurzy dwa papierosy, a za chwilę znów słucha, czy kura nie zagdacze. O, widzicie, takie kłopoty i swary. Przez to gdakanie to może się nawet zdarzyć nieszczęście, bo kobiety są bardzo zapobiegliwe...

Obrazek, trzeba przyznać, bardzo wyrazisty. Z jednej strony to próżne szwendanie się mężczyzn po wsi i wystawanie z założonemi rękami w dzień powszedni, w czas przedżniwny wprawdzie, ale tem nie mniej przecież roboczy, a potem to wyczekiwanie na sposobność wyniesienia z pod czujnego oka gospodyni jaj i wymianę ich handlem zamiennym na papierosa — jednak to coś nowego, doniedawna nieznanego. Polskę poznajemy właściwie dopiero. Nie mieliśmy o niej, jako całości, właściwego wyobrażenia. Przesadzaliśmy jej warunki i bogactwa naturalne, uważaliśmy ją za jakąś krainę mlekiem i miodem płynącą, gdy rzeczywistość poucza, że trzeba wielkiego wysiłku i pracy, aby ziemia nasza wszystkich, jak należy, wyżywić mogła. Trzeba wielkiej pracy, a tymczasem miljony ludzi , po prawdzie mówiąc, cały rok świętują. W ciągu ostatnich 14 lat ludność nasza wzrosła o 6 miljonów, emigracja prawie ustała, miasta pochłonęły małą cząstkę, a ziemi nie przybyło i na tej samej, co przedtem, przestrzeni „siedzi" teraz o jakieś 5 miljonów ludzi więcej. Dosłownie siedzi i w dodatku z założonemi rękoma, jak to nam obrazowo przedstawił cytowany autor, a o czem ostrzegała już nas statystyka. To próżnowanie miljonów ludzi jest zagadnieniem, wobec którego zwalczanie t. zw. bezrobocia, obejmującego kilkaset tysięcy zarejestrowanych, jest drobnostką. A i z tą drobnostką nie możemy sobie dać rady.

Autor tego listu trafnie przyrównywa wieś naszą do olbrzymiej elektrowni, mogącej uruchomić potężne zasoby energji, ale elektrowni stojącej bez ruchu, nieczynnej.

I wskutek tego bezruchu, tego szwendania się z założonemi rękoma, a nie pracowania na roli, dochód w 5-morgowem gospodarstwie w Małopolsce zachodniej wynosi na głowę, jak wyliczono... 44 grosze dziennie!

Jak go zwiększyć, jak uruchomić tę elektrownię? Bo, że bez dokonania tego zmarniejemy, to nie ulega chyba wątpliwości.

Przed paru laty, jeszcze przed t. zw. kryzysem, kierujące sfery rolnicze rzuciły hasło: „O jeden centnar z hektara więcej!" Dziś o tem haśle już jakoś nie słychać. Bo cóż, zboże nie płaci, jak go będzie więcej, to ceny będą jeszcze niższe. Pewnie, ale czy przypadkiem nie jest błędem to nastawienie, jakiem przejęte jest, zresztą nietylko u nas, całe gospodarstwo, mianowicie nastawienie na zysk. Czy zdobybycie porządnego utrzymania nie powinno być pierwszym celem? A czyż nasza wieś ma zawiele? Przeciwnie, wiemy, że stale niedojada, że musi na podatki nieraz odejmować sobie od ust. Więc czy wzmożenie wydajności gospodarstwa jest nieaktualne? A czy daje się osiągnąć tylko zwiększonem użyciem nawozu sztucznego, czy lepszych narzędzi, a większa praca ludzka, włożona w uprawę, nic nie jest w stanie dokonać? Gdyby tak było, to oczywiście musielibyśmy z rezygnacją patrzeć na dzień, spędzany przez dorosłego chłopa na wyczekiwaniu, kiedy tam kura zagdacze, ale nie chce się temu wierzyć.

Przeprowadzana reforma nie przysparza ziemi, a tę, co jest, może nawet oddać w obecnych warunkach w ręce mniej produkujące. Więc chyba pierwszemi robotami publicznemi powinny być u nas meljoracje nieużytków, a mamy przecież całe prowincje, które do tej kategorji zaliczyćby wypadało. Trzeba na to wielkich środków. Zapewne, ale nie trzeba zamykać oczu na to, że jak to niejeden przykład w świecie nas uczy, jest to w pewnej, znacznej mierze kwestja techniki finansowej. A przecież niema chyba tranzakcji tak rujnującej, jak tolerowanie bezczynności miljonów ludzi.

Tę bezczynną elektrownię musimy uruchomić. Na 44 groszach dochodu dziennego u miljonów obywateli nie można zbudować państwa, które, jak to wszyscy wiemy, musi być silne, żeby się ostać. ARGUS

NA MARGINESIE

W bibljoteczce, wydanej przez BB, p. t. „Poradnik dla mężów stanu", ma się ukazać krótki podręcznik dla Elity, napisany przez senatora Romana. Znakomity ten mąż stanu, zachęcony owacyjnem przyjęciem jego referatu na ostatniem posiedzeniu Senatu, skreślił właściwym sobie, lekkim stylem wykład p. t. „Jak doszedłem do inteligencji, wytrawności politycznej i dostojności".

*

Jak się to się śpiewa w „Pierwszej Brygadzie":

Nie trzeba nam waszego głosowania...

Teza ta znalazła zastosowanie w nowej ordynacji wyborczej. Nowością w niej jest s a m o w y b i e r a l n o ś ć.

Wybory będą do tego stopnia bezpośrednie i tajne, że aż samowybieralne. „Sanacja" jest dość silna, aby mogła sobie sama starczyć, wynikiem zaś samostarczalności musi się stać samowybieralność.

Nowy ten wynalazek będzie oczywiście opatentowany, Polsce bowiem wcale nie zależy na tem, aby inne państwa znalazły drogę do potęgi i sławy.

*

Adwokat do klijentów po eksmisji:

— Mieliście wspaniały dom, pod którego dachem mogliście spać spokojnie, nie dbając, czy na dworze żar lub szaruga. Panowie pytacie, co będzie teraz. Długo myślałem nad tem, obecnie zaś powiedzieć wam mogę z całą siłą przekonania, że znalazłem wyjście: Będziecie korzystali ze świeżego powietrza. Ja wiem, że nie lubicie świeżego powietrza. Gdzie mogliście, toście je psuli. Ale trzeba się przyzwyczaić. Niema nic lepszego nad świeże powietrze.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM